

LORENA FRANCO

**RATUJ SIEBIE.
JA I TAK JESTEM MARTWA.**

**ONA
TO
WIE**

**WSZYSCY NAS WIDZĄ,
ALE MAŁO KTO WIE, KIM JESTEŚMY.**



RATUJ SIĘ TY, JA JUŻ NIE ŻYJĘ

Potwór jest blisko, czuję go.

W mózgu odgłosy łomotania i histerycznego śmiechu droczą się ze mną, chcą mnie doprowadzić do szaleństwa.

Oczy mam przewiązane opaską, nie mogę jej rozwiązać zdrętwiałymi palcami.

Małe, ciasne pomieszczenie przyprawia o klaustrofobię, ledwo mogę oddychać.

Podłoga i ściany są zimne i wilgotne, mam dreszcze; usiłuję wstać, ale nie mogę powstrzymać drżenia nóg.

Próbowałam krzyczeć, na próżno: struny głosowe jakby nie istniały.

Nie po raz pierwszy czuję, że moje ciało do mnie nie należy, ale pierwszy raz tak bardzo się boję.

Powinłam była uwolnić się od chorobliwej fascynacji ciemną stroną ludzkiej natury i uciec, zanim odkryłam list, znacznie wcześniej.

Teraz nie mam już jak uciec.

Chciałabym znowu nie pamiętać. Obracam się powoli, próbuję chronić się własnym ciałem.

Czy już nie żyję? Czy to jest śmierć?

„Chciałabyś nie żyć”, mówi mi głos, ten sam głos, który umilkł dawno temu. Zawsze krzywdzący, zawsze rzeczowy, zawsze sarkastyczny.

Jeśli przesunę rękę tylko o milimetr, znowu dotknę dłoni, zim-

nej i oślizgłej, jakby była w stanie rozkładu. Nie wiem, kto leży obok mnie, kto towarzyszy mi w tym koszmarze, ale jeśli to człowiek, to jest już martwy. Dlatego z każdego kąta tej zamkniętej przestrzeni, której nie widzę, wydobywa się odór śmierci.

To zrobił Potwór... kto wie kiedy? I jestem pewna, że jeszcze chwila, i zabije mnie.

Z całych sił pragnę w jakiś sposób opanować strach.

Chcę, żeby zniknął ten łomot, i ten śmiech.

Muszę stąd wyjść, zanim Potwór wróci.

W końcu udaje mi się stanąć na nogi i zdesperowana, dotykając wilgotnych ścian, posuwam się powoli, szukając wyjścia, chcąc być jak najdalej od tej ręki.

Usiłuję w jakiś sposób skoordynować ruchy ociężałych drżących nóg, wysłać im sygnał, że są mi potrzebne, tu i teraz, bo muszę dokąś uciec, znaleźć ocalenie.

Ale nigdy nic się nie dzieje tak, jak zaplanuję. Nigdy.

Klucz obraca się w zamku. Już wszedł, już tu jest. Czuję, że mnie obserwuje; jego śmiech rozbrzmiewa jak echo z tamtego świata.

– Dlaczego, Andreo? Dlaczego? – pyta z udawaną życzliwością.

Ten głos... Ten głos...

Czuję silne uderzenie w głowę ostrym przedmiotem i padam na podłogę.

Łomotanie w mózgu i śmiech znikają.

Jestem pewna, że za chwilę przestanę oddychać.

– Boli mnie... – mówię do niego resztką sił, szeptem, na próżno oczekując odrobiny współczucia.

Potwór nie odpowiada. W ciszy pochyła się nade mną, czuję jego oddech. Jest w nim całe zło wypełniające jego duszę, zło, którego nie umiałam zobaczyć. Zdejmuje opaskę z moich oczu, żebym mogła go zobaczyć ostatni raz.

I w tych ostatnich chwilach życia zadaję sobie pytanie, czy rzeczywiście znamy bliskich nam ludzi.

ANDREA

Poniedziałek, 8 czerwca 2015 roku

ROZDZIAŁ

Dzisiaj jest moja rocznica. To nie są moje urodziny ani dzień ślubu, nic w tym rodzaju. Dzisiaj mijają dwa lata od czasu, kiedy opuściłam więzienie, jakim stało się nasze mieszkanie na wąskiej uliczce Santa Anna w Barcelonie, po to tylko, aby wejść do innej klatki, która miała być moim zbawieniem. Lecz się nim nie stała; udało mi się tylko jeszcze bardziej od wszystkiego oddalić.

Wiem, że Nico, mój mąż, nadal obwinia mnie, że tak bardzo chciałam mieć to duszne mieszkanie, które, choć wyremontowaliśmy je według naszego gustu, okazało się najgorszą decyzją, jaką kiedykolwiek podjęliśmy. Może nawet nienawidzi mnie za to, że przez długie lata musiał żyć w miejscu, w którym wszyscy sąsiedzi się od nas odwrócili. Poza tym nigdy nie wpadały do niego promienie słońca i przez cały dzień musieliśmy mieć zapalone światło w salonie, co było nie do zniesienia. I jeszcze ten brud, pijacy o trzeciej nad ranem wrzeszczący na ulicy, turyści...

Uparłam się, żeby mieszkać w tamtej okolicy, gdyż symbolizowała sceneryjną najpiękniejszą – moim zdaniem – powieści na świecie, *Cienia wiatru*, Carlosa Ruiza Zafona. Tam, na tej samej ulicy, na rogu Portal de l'Àngel, mieszkał jej bohater, Daniel Sempere, a ja wyobrażałam sobie, że mogłabym przeniknąć zapisane karty, znaleźć się w latach czterdziestych i trafić na tę chwilę, kiedy

Daniel pochłaniał fikcyjną opowieść Juliana Caraxa z taką samą żarliwością jak ja, ilekroć pograżałam się w lekturze tej książki.

Zastanawiałam się, czy Daniel Sempere też się tak czuł na tej ulicy, ale po chwili zaczynałam się z siebie śmiać, ponieważ dochodziłam do wniosku, że z pewnością popadam w obłąd. Sempere nie istniał; nie istniało jego mieszkanie, choć lubiłam sobie wyobrazić, że Zafón mógł przecież znaleźć inspirację w moim. Jedno było pewne: Sempere nie musiał znosić narzekań mojego męża, który nigdy nie rozumiał, jakie znaczenie miała dla mnie ta książka, a zwłaszcza ten egzemplarz, który przepadł pomiędzy masą pudeł, kiedy wyprowadzaliśmy się z mieszkania. Ciągłe mam nadzieję, że go znajdę; jest mi tak potrzebny, mimo że każdy rozdział mam wryty głęboko w pamięć.

*...i wędrowaliśmy ulicami Barcelony, uwięzionej pod szarym niebem i zamglonym słońcem**.

Ileż to razy marzyła mi się chwila, kiedy trzymając Nica za rękę, prowadzę go na Cmentarz Zaginionych Książek i każę mu przysiąc, że zatrzyma to w secrecie. Głupio się teraz czasem czuję, bo już wtedy nie umiałam odróżnić kłamstwa od prawdy, fikcji od rzeczywistości...

Nie wiem, kiedy zaczęłam mieszać alkohol z pigułkami nasennymi, w którym momencie zaczęło się moje zejście do piekieł. Prawdę mówiąc, wiem, ale wolę nie pamiętać, bo to za bardzo boli. Czasem pamiętam, tylko czasem... i wtedy sobie powtarzam: Życie jest zbyt piękne, żeby je zmarnować. A potem wracam do rzeczywistości i zapominam o tej zasadzie, która dawniej, wiele lat temu, była dla mnie ściśle przestrzegany nakazem.

Nico zarabiał na tyle dużo, aby zapewnić nam dwojgu umiarkowany komfort, więc ja zabrałam się za pisanie powieści kryminalnej i w rezultacie całymi dniami tkwiłam w domu, nie stwo-

* Wszystkie cytaty z *Cienia wiatru* w tłumaczeniu Beaty Fabjańskiej-Potapczuk i Carlosa Marrodana Casasa

rzywszy nawet jednej linijki tekstu wartego mojego wysiłku. Poza tym, stopniowo oddalaliśmy się od przyjaciół; dotąd nie wiem, dlaczego tak się stało, a jedyną osobą, z którą się spotykałam, była nasza sąsiadka, Clara. Dzięki jej częstym wizytom przestałam patrzeć na siebie jak na nieudacznika; zobaczyłam kogoś, kto ma marzenia i cele i kto pewnego dnia – nawet jeśli nie nadejdzie on prędko – zabyłnie własnym światłem i nie będzie zależeć ani od męża, ani od nikogo.

Trzy lata starsza ode mnie Clara była niezwykła. Mieszkała sama, mając do towarzystwa dwa koty. Nieprawdopodobnie atrakcyjna, wysoka i szczupła, z pięknymi blond włosami, należała do osób, którym zawsze zazdrościłam, które samym pojawieniem się w jakimś miejscu rozświetlają je promiennym uśmiechem.

Czasem jest mi jej bardzo brak. A czasem o niej zapominam.

Ostatnimi osobami, które widziały Clarę żywą, byliśmy Nico i ja. Często we trójkę wychodziliśmy na kolację do pobliskiej restauracji La Lluna. Jej jasno oświetlona sala przenosiła nas w lata dwudzieste; uwielbialiśmy ich kremową zupę z dyni i zajadaliśmy się gotowanym na parze łososiem z ravioli w sosie z brokułów. Ale tamtego wieczoru Clara zaprosiła nas do siebie i jedliśmy pizzę. Potem Nico i ja poszliśmy spać, a ona została ze swoimi kotami.

Następnego dnia obudziły nas syreny wozów policyjnych zaparkowanych przed domem. Chociaż obecność policji w tej dzielnicy, z powodu kradzieży i bijatyk, nie była rzadkością, od początku miałam złe przeczucia i przypomniła mi się chwila, kiedy żegnałam się z Clarą poprzedniego wieczoru: spojrzała mi uważnie w oczy, posłała mi półuśmiech, który wydał mi się najsmutniejszy, jaki kiedykolwiek widziałam, i być może chciała powiedzieć coś innego niż zwykle „Dobranoc”, ale jedynie dotknęła mojego ramienia w czułym geście pożegnania.

Gdy wyszliśmy na klatkę schodową, złe przeczucie się potwierdziło: dostęp do mieszkania mojej przyjaciółki został zamknięty, a jeden z policjantów trzymał oba koty, które na mój

widok miauczały żałośnie, prosząc o pomoc.

– To oni, oni ją widzieli ostatni! – krzyknął, pokazując nas palcem, pan Gregorio, który mieszkał naprzeciwko Clary i znał absolutnie każdy krok młodej i atrakcyjnej sąsiadki.

– Co... co się stało? – zapytał Nico, równie zdezorientowany jak ja.

– Niczego nie możemy jeszcze potwierdzić, ale wygląda na to, że wasza sąsiadka zmarła z przedawkowania heroiny i w efekcie zatrzymania serca.

– Co takiego?! – zawołałam przerażona i jeszcze na pół sena. – To niemożliwe, Clara jest... No, nie, cholera. Clara była najzdrowszą osobą na świecie – powiedziałam, piorunowana pełnym dezaprobaty wzrokiem pana Gregoria, tak jakbym ja miała coś wspólnego z tą sprawą.

Stało się to o świcie w poniedziałek, piętnastego kwietnia. Od tej pory minęło niewiele ponad dwa lata i ta tragedia naznaczyła moje życie na zawsze.

Policja przesłuchała wszystkich mieszkańców, Nica i mnie znacznie dokładniej, bo rzeczywiście byliśmy ostatnimi osobami, które widziały Clarę żywą, ale w żadnym momencie nie byliśmy o nic podejrzewani. W chwili jej śmierci spaliśmy spokojnie i chociaż nie mogliśmy tego udowodnić, głęboki smutek świadczył o naszej niewinności.

Nico, prawnik i członek renomowanego zespołu adwokackiego, popytał wśród kolegów i w ten sposób niebawem dowiedzieliśmy się, że po autopsji i praktycznie nieistniejącym śledztwie stwierdzono, że śmierć była przypadkowa. Zdaniem policji, nikt nie był w nią zamieszany, ja jednak w to nie wierzyłam.

Nie, w żadnym wypadku. Mogli się sami mylić, mogli wprowadzać w błąd innych, lecz ja zawsze byłam przekonana, że ktoś wszedł w nocy do mieszkania Clary i zabił ją w sposób okrutny i jednocześnie dobrze obmyślony, nie popełniając przy tym żadnego błędu. Dla policji najwygodniej było uznać Clarę za narko-

mankę.

Pamiętam, że na pogrzebie płakałam jak nigdy i Nico musiał mnie odwiedzić do domu; nie mogłam nawet pojechać z kościoła na cmentarz. I od tego czasu w samotności płaczę, kiedy o niej myślę.

Ale to nie był koniec tej historii. Wkrótce potem sąsiedzi zaczęli utrudniać nam życie. Niektórzy, tak jak ja, uważali, że Clara została zabita, tyle że obwiniali nas i pisali na naszych drzwiach czerwoną farbą obelżywe słowa: *Skurwysyny, Potwory*.

Właśnie wtedy zaczęłam się stawać taka, jaka jestem teraz. Wyobrażam sobie, że dla Nica śmierć Clary i jej konsekwencje też były wstrząsem, lecz odczuł to w inny sposób, jakby obserwując to wszystko z dystansu. Jej śmierć nie dotknęła go tak głęboko i osobiście jak mnie.

Zostawiliśmy małe i mroczne mieszkanie, w którym zaczynałam się bać o nasze bezpieczeństwo, i przeprowadziliśmy się do przebudowanego osiedla mieszkaniowego na obrzeżach Mataró, powstałego w 1965 roku, z jego identycznymi i nijakimi piętrowymi domkami z czerwonej cegły i masą zieleni dookoła. Szukaliśmy bezpiecznego schronienia, gdzie moglibyśmy stworzyć rodzinę i być jak najdalej od miejsca, które do tej pory uważam za piekło Barcelony.

Tam jednak wcale nie było lepiej, a dziecko się nie pojawiło. Przez pierwsze miesiące brałam kwas foliowy i dostosowywałam swoją dietę do nowej sytuacji. Nico nie wie, że się strasznie uzależniłam od środków uspokajających, które niszczą mi ciało i – jestem tego pewna – utrudniają powstanie nowego życia w moim łonie.

Właśnie dzisiaj jest rocznica przeprowadzki na to osiedle, w którym moje marzenia zostały zniweczone, gdzie zdałam sobie sprawę, że czasem szczęście nie ma nic wspólnego z miejscem, w którym mieszkasz, i z ludźmi, którzy cię otaczają. To niemal zawsze zależy od ciebie. Jeśli tobie nie jest dobrze z sobą, nie

będziesz się dobrze czuć niezależnie od tego, gdzie jesteś i – tym bardziej – z kim jesteś. Nie możesz odmienić ani swojej psychiki, ani wspomnień. Tak bardzo jest mi żal Nica... tak bardzo jest mi żal siebie.

Są gorsze więzienia niż słowa, powiedział Zafón.

Jak każdego ranka od dwóch lat, z okna mojej kuchni dyskretnie obserwuję codzienną krzątanicę sąsiadów. Popijając świeżo zaparzoną kawę. Chcę wiedzieć, czy osiemdziesięcioletnia siostra pani Dolores – ona sama za chwilę pójdzie po zakupy – już umarła, czy nie. Mój intrygujący sąsiad o smutnej twarzy, który mieszka dwa domy dalej – jak powiedziała mi pani Dolores, ma na imię Antonio i jest po pięćdziesiątce – wrzucił właśnie wielki i ciężki worek do pojemnika na śmieci, co zdarza mu się raz lub dwa razy w miesiącu. Robi to bardzo dyskretnie; patrzy w jedną stronę i w drugą, nie wiedząc, że tylko ja się temu przyglądam. Bardzo chciałabym wiedzieć, co jest w tych workach, dlaczego są takie ciężkie. Nie ośmieliłabym się go zapytać, bo też nigdy z nim nie rozmawiam.

María i jej mąż Carlos zegnają się pocałunkiem w drzwiach swojego domu; są tacy zakochani... On dobrze wychowany i raczej skryty, elegancki, gładko ogolony; ona z naturalną elegancją, już od samego rana świetnie ubrana. On gładzi jej czarne, jedwabiste półdługie włosy, idzie do samochodu, przy nim się odwraca i ruchem ręki jeszcze raz ją żegna; ona uśmiecha się, ukazując piękne białe zęby, i ukradkiem delikatnie dotyka brzucha.

Alicia, zawsze zatopiona we własnym świecie, robi poranny jogging ze słuchawkami na uszach. Za nią jej pies Matías – kocha go bardziej niż Ismaela, nowego chłopaka, który niedawno się do niej wprowadził – biegnie szybko z długim językiem dyndającym raz z jednej strony, raz z drugiej. Federico, rześki osiemdziesięciolatek, karmi bezpańskie koty na rogu, za którym właśnie znika samochód Carlosa, tak jak i biegnąca szybkim truchtem Alicia. Puszczam wodze wyobraźni i widzę Alicię i Carlosa razem, zdra-

dzających swoich partnerów i przeżywających potajemną namiętą przygodę miłosną.

María wyjmując kilka listów ze skrzynki i pozdrawia mnie, wymachując gwałtownie ręką, a ja jej odpowiadam kiwnięciem głowy i uśmiechem. Tylko ona wie o moim zamiłowaniu do szpiegowania z zacisza własnej kuchni. Nikt oprócz niej nie zna mojej tajemnicy. I najwyraźniej jej to nie przeszkadza.

Jest to spokojna ulica z mnóstwem sosen i krzewów oddzielających domki tego małego osiedla, podobnego do wielu innych, osiedla, w którym nigdy nic się nie dzieje.

„Tutaj nigdy nic się nie dzieje”, powiedziała kiedyś María i dodała: „Ale gdyby się coś zdarzyło, ty byś o tym wiedziała i jeśli komuś wpadłoby do głowy popełnić tu morderstwo, na pewno nie uniknąłby kary...”

Od dawna tak się nie śmiałam! I od razu oczami wyobraźni widzę starego Federica z jedną ze strzelb, które trzyma w garażu, mordującego panią Dolores, bo ma już dosyć jej radia nastawianego o świcie na pełen regulator. Albo tego dziwaka Antonia, który truje Alicię, ponieważ jej pies odkrył, co było w wielkim worku na śmieci – źródle mojego nieustającego niepokoju. Zwłaszcza że Antonio bardzo często taszczy dwie wypchane walizy do bagażnika samochodu, po czym cicho odjeżdża, nie wiadomo dokąd. Czy ćwiartuje swoje ofiary? Któregoś dnia, pod osłoną nocy, kiedy światła pogasną i wszyscy pójną spać, wyjdę i otworzę któryś worek. Może nie znajdę niczego ważnego ani interesującego. A może znajdę kawałki rozkładającego się ciała. Chyba jednak powinnam porzucić te obsesyjne myśli o biednym Antoniu; w końcu niewykluczone, że ten jego ponury wygląd jest owocem samotności i klaustrofobii, której można się nabawić, mieszkając tutaj.

Na pozór jest to miejsce przyjemne, jak z marzeń, ale stopniowo zamyka się wokół ciebie i więzi jak w klatce. Coraz rzadziej mam ochotę wsiąść do samochodu i pojechać do Barcelony; to tylko pół godziny drogi stąd, a tak daleko w moich myślach. Za-

wsze ci sami ludzie, zawsze to codzienne bezsensowne patrzenie na te same twarze, które skrywają dużo więcej, niż chcą pokazać światu.

Na naszej ulicy brakuje tego, co inne mają w nadmiarze: dzieci. Ich śmiech słycać z daleka, tak jak i ich dąsy i wrzaski i histeryczne krzyki rodziców, którzy często nie wiedzą, jak poradzić sobie z typowymi dziecięcymi problemami. Powinni, myślę, wiedzieć, że naprawdę mają dużo szczęścia, choć zapewne wcale się nad tym nie zastanawiają. Żeby to ja mogła mieć takiego szkraba, kręcącego się wokół, rozbijającego wazony, budzącego mnie o siódmej rano w weekendy, chowającego łyżki po kątach, z narażeniem życia wdrapującego się na wysoką sosnę. Dużo bym dała, żeby wiedzieć, czy odziedziczyłyby moje niebieskie oczy i kasztanowe włosy; albo czy miałyby nieodparty urok Nica. Zostawiłabym moje kochane okno, które teraz, w tym piekielnym letnim upale, kiedy w nocy nie mogę zmrużyć oka, przyciąga mnie na całe godziny. Gdybym miała w domu dziecko, nie obchodziłyby mnie worki i walizki Antonia ani szczęście małżeńskie Carlosa i Marii.

Spuchłam jak balon od kwasu foliowego, środków uspokajających i alkoholu i źle sypiam, nawet nie pamiętam od jak dawna. Właściwie „złe sypianie” nie jest najlepszym określeniem, ponieważ nie mogę zasnąć nawet po połknięciu pigułek. Zamykam oczy i tak, jakby to się już stało zwyczajem, zaraz je otwieram i wpatruję się przez całą noc w czarne potargane włosy Nica, śpiącego obok, odwróconego plecami. Czasem mnie to już tak nudzi, że idę do swojego pokoju z zamiarem pisania, lecz najczęściej schodzę na dół do kuchni, gdzie jest chłodniej, i przez okno obserwuję orzeźwiającą, ciemną letnią noc. Myślę o tym, jak bardzo się czuję winna, bo wiem, że Nico tak samo jak ja, a może nawet mocniej, pragnie dziecka, którego nie mogę mu dać. Jakiś czas temu rozważaliśmy zapłodnienie in vitro, chociaż zawsze miałam tę iskierkę nadziei i nadal myślę, że w każdej chwili mogę zajść w ciążę w naturalny sposób. Tyle tylko, że od mniej więcej dwóch

miesiący Nico nie chce się ze mną kochać. Odtrąca mnie, jakbym była kompletnie nieznaną mu osobą; wyklucza mnie ze swojego życia, a najgorsze jest to, że nie wyobrażam sobie życia bez niego.

Poznaliśmy się dziesięć lat temu, kiedy ja byłam naiwną dwudziestotrzylatką, a on niezwykle atrakcyjnym dwudziestopięcioletkiem. Staliśmy, każde z nas w swojej grupie przyjaciół, przed wejściem do kina i ani on, ani ja nie chcieliśmy oglądać tego filmu, na który nasi przyjaciele mieli ochotę pójść. Nico zorientował się, że jestem w takiej samej sytuacji jak on, podszedł więc z figlarnym, trochę drwiącym uśmiechem i łobuzerskim spojrzeniem migdałowych oczu i zaproponował, żebyśmy zostawili znajomych i razem obejrzeliby film: „Zdaje się, że mamy bardziej wybredny gust”. I tak oto on i ja, dwoje kompletnie obcych ludzi, znaleźliśmy się w niemal pustej sali i oglądaliśmy *Elsę i Freda*, podczas gdy tamci pożerali popcorn i podziwiali jędrne mięśnie Brada Pitta i wielkie oczy Angeliny Jolie w *Panu i Pani Smith*.

Tyle czasu minęło, odkąd patrzył na mnie z miłością, o wiele za dużo, odkąd słyszałam jego lekko ochryply głos – „Jesteś taka piękna” – po trwającym wieki orgazmie, kiedy ja, w zapamiętaniu, całowałam jego śniadą twarz i zwichrzone włosy. Tyle czasu, odkąd Nico już nic dla mnie nie robi. Już nie jest tym pięknym bohaterem, jakiego kiedyś znałam.

Słyszę, że schodzi na dół.

– Cześć – mówi obojętnym tonem.

– Cześć – odpowiadam bez entuzjazmu.

– Co będziesz dzisiaj robić? – pyta. Nalewa sobie kawy i bierze grzanekę.

– Mam wizytę u ginekologa... Mógłbyś pójść ze mną – podsuwam myśl, wpatrując się w niego uparcie w nadziei, że i on na mnie spojrzy. „Tu jestem! Spójrz na mnie! Dlaczego nie patrzysz na mnie jak kiedyś? Dlaczego nie chcesz sprawić, żebym się znowu czuła najwspanialszą dziewczyną na świecie?”

– Po co?

- Żeby zdecydować, czy robimy in vitro czy nie.
- Ty zdecyduj. Zrób, jak chcesz – odpowiada obojętnie.

I idzie wziąć prysznic.

Jeszcze niedawno pocałowałby mnie, zanim powiedziałby „Dzień dobry”. Teraz tylko szorstkie „Cześć” na odległość, a całuje mnie tylko wtedy, kiedy go o to poproszę, gdy już wychodzi. Szczerze mówiąc, nie mam ochoty być żoną na pokaz, która musi chodzić krok za mężem, żeby ją wynagrodził pocałunkiem. Właśnie taka się stałam? Serio? To chyba jakiś cholernie podły żart.

„Nienawidzę cię. Nienawidzę cię. Nienawidzę cię”, mówi głos w mojej głowie i nagle chcę mieszać alkohol z pigułką na uspokojenie, nawet teraz, w jego obecności. Zachowuje się tak, że przypuszczam, że wie o moim nałogu i za to mnie nienawidzi. Kiedy jest w domu, kontroluję dawkę. Gdy wyjeżdża, wszystko się wali i nie panuję nad niczym.

Któregoś wieczoru, kiedy był w Saragossie w sprawach służbowych, Maria przyszła na kolację, a po jej odejściu miałam taki odlot, że zapomniałam, jak się nazywam. Nie wiem, jak, do cholery, znalazłam się naga na podłodze w garażu. Nie wiem też, w jaki sposób przecięłam sobie wargę tak głęboko ani dlaczego miałam wielkiego siniaka na czole. Jednak to uczucie luk w pamięci było wspaniałe. Od tamtej pory chcę, by Nico częściej wyjeżdżał i zostawiał mnie samą, żebym nie musiała odmierzać sobie leków. Szaleństwo jest niebezpiecznym nałogiem, ale jedynym, który może mnie teraz uratować.

Nico ma swój rozkład dnia. Wychodzi z domu, jedzie do swojej kancelarii adwokackiej w centrum Barcelony i wraca pogrążony we własnych sprawach. Moje dni są inne. Praktycznie cały dzień siedzę w domu, wymyślając historie, które nie wiadomo jak się potoczą, i mam nadzieję, że któregoś dnia znajdą się na papierze, a moją jedyną rozrywką jest przyglądanie się życiu innych ludzi, chyba tylko po to, żebym nie myślała o tym, jak moje się rozsypuje.

Powstrzymuję łzy wywołane obojętnością Nica i znowu patrzę przez okno. Jest ósma rano; większość sąsiadów pojechała już do pracy. Za pięć minut pojawi się Alicia z Matiasem, kończąca swój poranny jogging – albo romantyczną przygodę z Carlosem, która istnieje tylko w mojej głowie – żeby zdążyć do pracy. Maria pewnie zaraz wsiądzie do samochodu i o dziewiątej pojedzie na zakupy. O wpół do jedenastej pani Dolores, która ma najpiękniejszy i najlepiej zadbane ogród na całej ulicy, będzie podlewać róże, a Federico wyjdzie z domu i zawoła: „Ach, Dolores! Jakie to szczęście, że cię tutaj mamy! Dzisiejsi młodzi nie mają pojęcia o kwiatach!”. To prawda. Ogródki przy pozostałych domach są nijakie; czasem w weekendy ścinamy trawę i tylko podlewaniem ratujemy życie kilku drzewkom owocowym zasadzonym, zanim się tu sprowadziliśmy.

Antonio nawet mi nie mignie przed oczami do siódmej wieczorem, kiedy jak zwykle wsiądzie do samochodu z dwiema walizkami i uda się do celu, którego nie znam. I obiecuję sobie, że to będzie „ta noc”: dzisiaj zdemaskuję tajemniczego sąsiada, który tak naprawdę jest przecież seryjnym mordercą. Ale obiecuję to sobie codziennie, jak tylko się budzę, a wieczorem już nie mam odwagi tego zrobić; to nie jest film klasy B z tych, które dają w weekendy o czwartej po południu.

I dalej będę siedzieć w domu, próbując powiązać z sensem słowa i skończyć swoją powieść, podczas gdy mój mąż będzie siedział w kancelarii na ulicy Muntaner z sekretarką, która jest na pewno młodsza ode mnie i zapewne dużo ładniejsza.

Nico wchodzi do kuchni, już w marynarce.

- O której wrócisz? – pytam, wypijając ostatni łyk kawy.
- Postaram się w miarę szybko. Dzisiaj przyjeżdża Víctor.
- Víctor?
- Mój brat.
- Jak to, przyjeżdża twój brat?
- Mówiłem ci w zeszłym tygodniu, Andreo. Zostanie u nas

kilka dni.

Nie mówił mi. A może mówił, tylko nie pamiętam.

– Przecież on mieszka w San Francisco, prawda? Przyjeżdża na wakacje?

– Nie, myślę, że zostawia tam wszystko i wraca do Barcelony, ale nie wiem na pewno – informuje mnie Nico. – To tylko kilka dni, nic nadzwyczajnego. W końcu to mój brat. Jeśli potrzebuje pomocy, u mnie ją znajdzie.

– Potrzebuje pomocy? Coś mu się stało? – Udamę zaniepokojenie, choć prawdę mówiąc, guzik mnie to obchodzi.

– Nie wiem! Zapytał mnie tylko, czy może się tu zatrzymać, nic więcej. Był trochę zdenerwowany, ale on zawsze był dziwny, więc się tym nie przejąłem. Z rodzicami mu się nie układa i woli zatrzymać się u nas.

– Cudownie – mówię z ironią.

– Wrócę wcześniej. Myślę, że Víctor będzie tu około szóstej.

Już nie chce mi się prosić go o pocałunek na pożegnanie, więc wychodzi, a ja, myjąc filiżanki po kawie, widzę, jak odjeżdża ulicą z szybkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę; za szybko, tu jest ograniczenie do trzydziestu.

Widziałam Victora tylko dwa razy i to wiele lat temu. Nie utrzymuje bliskich kontaktów z moim mężem ani z rodzicami; dzwonią do siebie raz na trzy miesiące i przypuszczam, że jego źródłem utrzymania jest to, co studiował, czyli architektura. Nigdy go specjalnie nie lubiłam, a zwłaszcza nie podoba mi się jego obojętność wobec rodziny. Kiedy go poznałam, wydał mi się dość wyniosły; i nie okazał najmniejszego zainteresowania partnerką jedyne go brata. Nie zapytał, jak się miewam, nie chciał wiedzieć, gdzie pracuję ani czy jestem z Barcelony, czy jakiegoś innego miejsca na świecie. Takie pytania zwykle zadaje się komuś, kogo właśnie się poznało, a ja wątpię, czy on pamięta moją twarz. Przy żadnej z tamtych okazji nie stworzył sytuacji, w której mogłabym podejść i nawiązać rozmowę; tak jakby nie pozwalał nikomu

przekroczyć bariery, którą sam, z nieznanых powodów, stworzył. Dziwny facet, małomówny, i akurat teraz nie mam ochoty oglądać go w moim domu.

Mimo to uważam, że Nica powinny łączyć z bratem bliższe więzi. Nigdy nie zaproponował, żebyśmy pojechali odwiedzić Victora w San Francisco. Ja zawsze sądziłam, że gdybym miała braci czy siostry, byłabym z nimi bardzo związana, choćby tylko z powodu tych samych genów. Ale oni nie. Nico prawie nigdy nie mówi o Victorze.

Rozmyślania o rodzinie męża przypomniały mi, że od kilku dni nie rozmawiałam ze swoją matką... Może później do niej zadzwonię.

Idę ospale na górę, wchodzę do sypialni, ścielę łóżko i zbieram brudną bieliznę. Potem biorę pięciominutowy prysznic i wkładam pierwsze, co znajduję w szafie – dżinsy i szary T-shirt. Jakiś czas temu, jeszcze niedawno, stałabym pół godziny przed otwartą szafą i zastanawiała się, co włożyć. Byłam zalotna, szczupła, nie taka spuchnięta jak balon, i lubiłam się ładnie ubrać.

Żona adwokata i potencjalna autorka powieści kryminalnych powinna ubierać się szykownie, sądziłam.

Teraz jest mi wszystko jedno. Moje niebieskie oczy, kolor tak chętnie widziany pośród powszechnie brązowych, straciły blask, są spuchnięte i podkrążone. Wokół nich widać małe jeszcze zmarszczki, za to te w kącikach ust są głębokie i bardzo wyraźne. Powinnam była lepiej o siebie dbać, nie palić tyle, kupować kremy nawilżające, które celebrytki reklamują w telewizji. Włosy zniszczone, przesuszone z tu i ówdzie pokazującą się nienawistną siwą nitką układałam w kok, z którym wcale nie jest mi tak dobrze, jak bym chciała, i rozciągam na sobie T-shirt, żeby przykryć wystające z dżinsów wałki tłuszczu.

Kilka minut później jadę niespiesznie samochodem do centrum Barcelony na wizytę u ginekologa, zastanawiając się, czy ktoś mnie obserwuje przez okno, w zaciszu własnego domu.

Najchętniej uciekłabym ze smutnej poczekalni w szpitalu, nie patrzyła na ohydny zielony kolor ścian i nigdy więcej nie stąpała po kafelkach z szarego marmuru. Kilka kobiet było już u lekarki przede mną i u wszystkich widziałam ten szczególny blask w oczach, jaki miały kiedyś również moje. Może te kobiety są już od kilku tygodni w ciąży, a może ta sama ginekolog, która mnie potrafi tylko przy każdej wizycie powiedzieć: „Bądź cierpliwa”, im dała realną nadzieję, że znajdą w upragnioną ciążę. Oczywiście, najprawdopodobniej lepiej o sobie dbają i potrafią zerwać z niebezpiecznym nałogiem, aby spełnić pragnienie zostania matką. Ja nie potrafiłam i nie potrafię, i dlatego czuję się jak najgorszy śmieć.

Ostatnio nie mogę patrzeć na kobiety w ciąży. Kiedy spotykam jakąś, patrzę na nią i myślę: Dlaczego nie ja? Dlaczego ona, a nie ja? Zadręczam się, wpadam w depresję i chcę się tylko zamknąć w ciemnym pokoju i płakać, dopóki mi starczy łez. A nade wszystko czuję się porzucona i odrzucona przez człowieka, z którym dzielę życie od dziesięciu lat.

Tak przykro jest i ciężko, kiedy ludzie pytają: „A kiedy dziecko?”. Gdybyśmy lepiej rozumieli, co znaczy „pomyśleć, zanim się coś powie”, nigdy nie zadalibyśmy małżeństwu takiego pytania, nie wiedząc, w jakiej jest sytuacji.

– Andrea Fernández! – woła czarnowłosa dziewczyna w drzwiach gabinetu, ubrana na białą, ze spojrzeniem równie przyjemnym jak jej uśmiech.

Wchodzę zdecydowanym krokiem, chociaż wewnątrz trzęsę się jak galareta, tak jakby nagle było się czym denerwować.

– Jak się czujesz? – pyta Marta, moja ginekolog. Ma pięćdziesiąt kilka lat, siwe włosy i jasne, budzące zaufanie oczy. Nieczęsto się uśmiecha, a kiedy już się to zdarzy, pokazuje białe, idealnie równe zęby.